OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

CENA 30 GROSZY

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA —

DWUTYGODNIK 1 CZERWIEC 1936 NR 9 ROK IV

JÓZEF ŚWIĘCICKI

PRZELUDNIENIE WSI W POLSCE

Co to jest i czy jest przeludnienie w Polsce?

Na takie pytanie częściową odpowiedź daje nam ostatnia książka Józefa Poniatowskiego p. t. „Przeludnienie wsi i rolnictwa". Że daje odpowiedź tylko częściową widać z tytułu książki, ograniczającego opisany przedmiot do wsi i rolnictwa.

Jednak biorę pracę J. Poniatowskiego za punkt wyjścia do rozważań na temat przeludnienia wogóle, a to dlatego, że wyczerpuje ona do dna badany problem i przez to samo narzuca określony pogląd na zagadnienie ogólnego przeludnienia pomimo, że się niem oficjalnie nie zajmuje.

Od czasów Malthusa i słynnego „Prawa ludności", wiele się zmieniło. Zmieniła się przedewszystkiem technika produkcyjna. Z tej racji mimo, iż minęło wiele lat od czasu, jak Malthus wypowiedział obawę, że liczba ludności przekroczy kiedyś zdolności wyżywienia tej ludności przez kulę ziemską, chwila rozumianego w ten sposób przeludnienia wydaje się dziś nam zapewne dalsza niż Malthusowi.

Możliwości zwiększania wydajności gleby są tak wielkie dzisiaj, że doraźnego niebezpieczeństwa głodu w skali globalnej, nawet przy obecnym tempie przyrostu naturalnego niema.

Odwrotnie, przyczyną zmartwienia rolników, zwłaszcza w Polsce, jest istnienie w innych krajach gleb znacznie wydajniejszych niż u nas, dzięki czemu nie opłaca się u nas prowadzenie intensywnej gospodarki rolniczej. Mówi się o klęskach urodzaju, nadprodukcji zbóż i innych podobnych rzeczach.

Zdawałoby się, że tylko przyrost naturalny może zaradzić złu, że tylko on spowoduje wzrost spożycia nadmiaru dóbr, zalegających rynki i śpichrze, zrodzi nowe zapotrzebowania na wszystko, a przedewszystkiem na pracę.

Jeżeli chodzi o ogólny problem polityki ludnościowej i jej wpływ na życie gospodarcze w skali światowej nie jest to żaden parodoks. To prosty wynik logicznego rozumowania, opartego o zaobserwowane zjawisko nadprodukcji dóbr, a zwłaszcza, artykułów rolniczych.

Mimo to Poniatowski poświęca kapitalne dzieło naukowe o przeszło 200 stronach druku sprawie przeludnienia. Czyżby robił to poto, aby dowieść, że przeludnienia niema? Czy wogóle ma sens praca o tem, czego niema?

Poniatowski mówi o przeludnieniu wsi i rolnictwa w Polsce i twierdzi, że przeludnienie to jest bardzo znaczne. Twierdzi on, że nadmiar ludności rolniczej na dzień 1 kwietnia 1935 r. wynosił w całej Polsce conajmniej 8.800.000 ludzi, a więc przeszło 25% ogółu ludności.

Czy z tego wynika, że Polska jest przeludniona wogóle?

Gdyby tak było, pozostawałyby tylko trzy środki zaradcze i drogi do polepszenia sytuacji gospodarczej kraju, a mianowicie emigracja, zwycięska wojna zaborcza, lub gwałtowne ograniczenie przyrostu naturalnego.

Są to środki albo niewykonalne, albo nieetyczne, albo conajmniej groźne dla utrzymania bytu państwa.

Żadnego z nich nie zaleca autor pracy o przeludnieniu wsi i rolnictwa. Nie zaleca dlatego, że przeludnienie rolnictwa, czy wsi, nie świadczy wcale o trwałem przeludnieniu całego kraju.

Zdaniem autora o przeludnieniu ogólnem, oderwanem od czasu, miejsca i warunków wogóle mówić nie można. Tembardziej mojem zdaniem nie można mówić o trwałem i absolutnem przeludnieniu jakiegoś kraju na kuli ziemskiej póki jeszcze istnieje wymiana międzynarodowa i możność zmiany zawodu przez ludność.

Gleba kuli ziemskiej jest zdolna wyprodukować znacznie więcej, niż zdoła spożyć w tym samym czasie jej zaludnienie. — Rolnictwo w Polsce również jest w stanie produkować więcej, niż zdoła spożyć cała ludność Polski. Mimo to rolnictwo, nie może zapewnić utrzymania na dostatecznym poziomie całej ludności, która dziś w Polsce żyje z rolnictwa.

Ilość rolników, przypadających na 100 ha użytków rolnych w Polsce jest większa, niż tego wymaga uprawa roli blisko w dwójnasób. Widać to nawet przy przyjęciu za normę stosunków zachodnioeuropejskich, odznaczających się bardziej intensywną gospodarką od naszej.

Intensyfikacja rolnictwa u nas nie zdoła stworzyć znacznego zapotrzebowania na pracę rolną i nie stworzy znacznego wzrostu zatrudnienia w rolnictwie. Intensyfikacja rolnictwa u nas będzie się wiązała przedewszystkiem z nakładem kapitału (maszyn, narzędzi, nawozów sztucznych, meljoracyj), a nie pracy.

W tej chwili olbrzymie bezrobocie na wsi, sięgające do 50% istniejącego potencjału pracy wśród ludności rolniczej obciąża rolnictwo dodatkowemi kosztami utrzymania zbędnych rąk i gąb, pochłaniając tę część dochodu wsi, któraby mogła ulec kapitalizacji i ożywić obrót w kraju, powiększając zdolność nabywczą wsi w stosunku do artykułów przemysłowych.

Gdyby ten nadmiar rąk i gąb, jaki istnieje na wsi udało się zdjąć z karku rolnictwa na jakiś czas, wieś musiałaby się ożywić, zaczęłaby nabywać wyroby przemysłowe, powstałoby dodatkowe zatrudnienie w przemyśle, zdolne pochłonąć przynajmniej część tych rąk i gąb. Koło, w jakiem się zamykają współzależne od siebie zjawiska gospodarcze, zaczęłoby się obracać w przeciwnym kierunku. Dodatkowe zatrudnienie w przemyśle stworzyłoby wzrost zapotrzebowania na artykuły rolnicze i t. d. i t. d.

Problem odciążenia rolnictwa przez usunięcie skutków przeludnienia rolniczego zarysowuje się więc jako zagadnienie kluczowe współczesnej gospodarki polskiej.

Przeludnienie wsi dziś jest klęską społeczną. Jednocześnie jednak jest olbrzymim rezerwuarem taniego potencjału pracy.

W tym rezerwuarze Poniatowski upatruje na długie lata jeden z głównych czynników rozwojowych życia gospodarczego w Polsce.

Do czasu wyczerpania rezerwuaru jednak nie można spodziewać się jak mówi autor „wysokiej przeciętnej stopy życiowej całego społeczeństwa".

Przeludnieniem ogólnem Poniatowski nazywa „odchylenie gęstości zaludnienia w górę od stanu najkorzystniejszego". Przy tego rodzaju odchyleniu zdaniem Poniatowskiego „przyrost ludności nie mógłby być tak wyzyskany dla wytwarzania nowych wartości, aby wpłynął dodatnio na przeciętny czysty dochód na głowę".

Polska więc dzisiaj może być uważana za kraj przeludniony nie dlatego, że posiada jakiś absolutny nadmiar ludności, ale dzięki strukturze zawodowej ludności.

Landau oblicza, że ludność, utrzymująca się z rolnictwa i zawodów pokrewnych wynosi w Polsce 64,5% ogółu ludności. W tym stanie rzeczy ani przyrost ludności rolniczej ani przemysłowej nie może spowodować wzrostu przeciętnego czystego dochodu na głowę.

Gdyby się jednak obecny stosunek ludności rolniczej do nierolniczej dało się odwrócić w drodze uprzemysłowienia kraju, być może stalibyśmy się krajem niedoludnionym nawet. Tego Poniatowski wyraźnie nigdzie nie mówi, ale to się w jego książce wyczuwa wyraźnie.

Dlatego też przypisuję duże znaczenie społeczne jego pracy. Przeludnienie jest i to nawet duże, ale środków zaradczych przeciw niemu nie należy szukać w ograniczeniu przyrostu naturalnego.

Są bowiem inne środki, dające się pogodzić z rozwojem i potęgą Rzeczypospolitej.

Z. ZAWISZANKA

OSTRA BRAMA

I

Zdrój Lourdes, płynący łaską nad zmysłów pojęcie,
Hieratyczny Kodeńskiej czar — i ów przyćmiony
Zwid Częstochowskiej twarzy z pod ciężkiej korony —
Włoskich Madonn zaduma tkliwa nad Dziecięciem — —

Znam to... lecz tęsknię tylko do Jasnej Dziewicy!
W glorji złotych promieni, nad cieśnią ulicy,
Ku jej gwarom i troskom cudną głowę skłania.

W dole lud klęka kornie na bruku — a Ona,
Przepasana księżycem, Łaską prześwietlona,
Ręce składa na piersiach, jak w dzień Zwiastowania...

Gdyby kiedy padł na mnie błysk Wieczności, znamię
Nadludzkie, co przetwarza byt ziemski od wnętrza —
Gdybyś Cud dla mnie sprawić raczyła, Najświętsza,
Tedybyś go sprawiła tylko w Ostrej Bramie!

II

Modły, wznoszone wiekami, wsiąkały w owe ściany,
Biją z nich gęstym oparem w wąziutką, stromą ulicę —
I nie tensam już jesteś, nie ten powszedni, skalany,
Kiedy na bruk chodnika padasz drżącemi kolany
Przed Jej obliczem.

Oblicze jest odkryte, wydane oczom zdumionym...
Patrzmy! niedarmo teraz wzrok pyta i przyzywa:
Pękają jakieś okowy, rozrywa się zasłona —
Już nie potrzeba dowodu, że tu przebywa Ona,
Obecność żywa!

Żadne szaleństwo zachwytu nikogo tu nie zadziwi:
Łzy jawne, naiwne dary, ni korne pocałunki.
I o cóż prosić jeszcze? czyśmy niedość szczęśliwi,
Trafiwszy na ślad Drogi, którą Bóg sam, skwapliwie
Szedł światu na ratunek?...

CYTATY Z BORYSA PILNIAKA

W pierwszym tegorocznym zeszycie *Verbum* znajdujemy ciekawy artykuł R. Blütha p. t. *Renowacja rodziny w Z. S. R. R.* „Po głoszeniu przez tyle lat — czytamy tam — że komunizm wyzwala istotę ludzką ze strasznego jarzma więzów rodzinnych, że rodzina jest haniebnym przeżytkiem moralności burżuazyjnej" — tworzy się teraz „hymny na rzecz rodziny, wywyższa dumę macierzyństwa i sentymentalnie głosi słodycz związków małżeńskich". I chociaż dziś jeszcze można natrafić w powieściach sowieckich na ironiczne zdania o „cieple i przytulności ogniska rodzinnego" (por. np. Mitrofanowa *Siewiertankę* lub Jakowlewa *Ogni w pole*), niemniej wszakże coraz częstsze są utwory, które w ten lub inny sposób podnoszą społeczne i moralne znaczenie małżeństwa. Dzisiaj członkom „komsomołu" coraz gorliwiej wpaja się przekonanie, że rozwody i rozluźnienie życia płciowego nie są bynajmniej „swobodą pozbawioną przesądów religijnych", ale burżuazyjną rozpustą, niegodną prawdziwego komunisty. Dostateczną ilość przykładów możnaby tu przytoczyć z powieści takich pisarzy, jak Ilja Erenburg, dawny emigrant — dziś największy bodaj entuzjasta Z. S. R. R. *(Dzień wtóry, Bez wytchnienia)*, maszynista A. Awdiejenko, najnowszy pupil M. Gorkiego *(Kocham)*, lub bohater walk o Ukrainę, coraz częściej stawiany młodzieży sowieckiej, jako wzór do naśladowania, M. Ostrowski *(Jak hartowała się stal)*. Ale najbardziej jaskrawe formy przybrało u pisarzy, którzy przed dziesięciu niespełna laty odznaczyli się obrazami — najczęściej chorobliwego — wyuzdania erotycznego. Do nich należy Borys Pilniak, którego kilka ustępów z noweli p. t. *Narodziny człowieka* drukujemy poniżej, jako dość znamienną ilustrację artykułu R. Blütha. Nowela ta została wydrukowana w miesięczniku *Nowyj Mir* w r. 1935, oraz w zbiorze nowel p. t. *Rożdienije czełowieka* (Goslitizdat, Moskwa 1935, str. 108—139. Cytaty według tekstu ogłoszonego w zbiorze nowel).

* * *

Główną postacią utworu jest prokurator sądów sowieckich, towarzyszka Antonowa. W dzienniczku, który prowadzi w przełomowej chwili życia, w ten sposób charakteryzuje dotychczasowe poglądy swe i zakres zainteresowań:

Ani muzyka, ani literatura, ani malarstwo nie były niezbędnemi elementami mego życia. Mój estetyczny i emocjonalny świat był ciasny, — raczej wcale jeszcze nierozwinięty. Od literatury żądałam tylko politycznej aktualności, agitacji i opisowości. Od malarstwa wymagałam obrazków, przedstawiających zakłady fabryczne i dokładnie fotografujących rzeczywistość. Muzyka wydawała mi się stratą czasu. Do seksualnego życia odnosiłam się racjonalistycznie — bez mała jak do sanitarno-higjenicznego zajęcia (str. 124).

O dziecku nie myślałam, przyjmując jako zasadę, że dziecko nie powinno być. Rodzina ze „swemi", „własnemi" rondlami i firankami wyzywała we mnie kpiny — jakież tam jeszcze rodowe „swoje", „własne" kąty i małżonkowie, skoro cały świat — mój!? Rodzina jako jednostka ekonomiczna — to rzecz martwa. Pozostawać w głupiej, psychologicznej zależności od męża, jak to bywało z mojemi przyjaciółkami, pozostawać pod najgłupszą kontrolą małżonka i uwzględniać jego „indywidualistyczne" właściwości — to wydawało mi się niepotrzebnem jarzmem. We wszystkich powieściach, które przeczytałam, wszędzie, gdzie tylko rozglądałam się wokoło, widziałam przedewszystkiem kłamstwo, które zostawiła nam w spadku dawna rodzina. Kłamstwo, niewola i utrzymywanie tego, czego niema — oto główne elementy tego, co pozostało w rodzinie (str. 121 — 122).

Zapatrywania te jednak ulegają całkowitej zmianie z chwilą, gdy Antonowa mimowoli zostaje matką, a z powodu braku czasu(!) nie może poddać się zabiegom chirurgicznym, któreby usunęły tę nieoczekiwaną komplikację jej życia. Dopiero teraz, w obliczu narodzin małego człowieka odczuwa w całej pełni tragizm swego osamotnienia. Ojciec jej dziecka, jeden z wielu przypadkowych kochanków odrazu zajął nieprzychylne, wrogie stanowisko.

Zrozumiałam — pisze Antonowa — że nasza podwójna śmierć — śmierć mego dziecka i moja — była mu wygodniejsza, niż narodziny człowieka. Nigdy w życiu nie znieważono i nie skrzywdzono mnie tak, jak on mnie znieważył i skrzywdził — i nietylko mnie, ale całą ludzkość, tak bowiem odczułam to wobec tego maleństwa, które jeszcze się nie urodziło, a dla którego był on ojcem. Słowa „święty", „świętość" — niedołężne słowa, ale nie znajduję innych. Nie dlatego, że to było moje, ale dlatego, że we mnie rósł człowiek, odczułam swoje ciało jako święte. Ale ja sama, pod jakim względem jestem lepsza? Jakiż wstyd, jaki ból sprawiały mi teraz wspomnienia o „sanitarno-higjenicznem" (str. 126).

Przeprowadzając następnie porównanie między sobą i widzianym niegdyś psem, daremnie szukającym legowiska, wyznaje dalej Antonowa:

Właśnie dlatego, że nie mam ani męża, ani „legowiska", przyjechałam tu przed porodem do cudzego domu, aby być zupełnie sama. To więcej niż kara. To natura mści za siebie. Jakże potrzebny mnie teraz bliski człowiek, mąż, który zrozumiałby wszystko to, co ja czuję. Przyjechałam do tego domu dlatego, że jestem całkowicie sama wobec narodzin tego maleństwa. Przyjechałam, aby nie myśleć się nad sobą, aby ukarać siebie (str. 127).

O tem, że Pilniak nie traktuje bynajmniej przeżyć Antonowej, jako czegoś przemijającego, zależnego od charakteru jej jako kobiety i szczególnych okoliczności, w których znalazła się w danym momencie, świadczą następujące wyznania innej postaci w tej samej noweli, inżyniera Surowcewa:

Dwie rzeczy, dwie okoliczności były mi straszne w życiu. O jednej mówiłem już — o samotności. Jestem komunistą, członkiem kolektywu — a oto gdy tylko pozostanę sam w czterech ścianach, lub nawet w lesie, jest mi samotnie i straszno wobec tej samotności. Nie powinno się odczuwać samotności we dwoje z kobietą, gdyż wtedy powstaje

KS. JÓZEF ZAWADZKI

CNOTY SPOŁECZNE

Na wstępie przypomnijmy sobie, jak dalece życie i dobrobyt (zarówno materjalny, jak duchowy) poszczególnego człowieka są zależne od pomocy społeczeństwa. Już w dziedzinie biologicznej, jeżeli porównamy życie człowieka, z życiem małpy „człekokształtnej", wystąpi jaskrawa różnica. Małpa zależy całkowicie od matki najdalej 3—6 miesięcy, uczy się chodzić w ciągu 6 miesięcy, ssie przez wiele miesięcy, zdolność do samodzielnego życia osiąga w 12—18 miesięcy; tymczasem człowiek, zależy od matki całkowicie przynajmniej jeden rok, uczy się chodzić w ciągu 12 mies., ssie 1—2 lat, osiąga zdolność do samodzielnego życia (na najniższym szczeblu cywilizacji) w 6—8 lat. (Na podstawie R. M. i A. W. Yerkes, The great apes, 1929).

W dziedzinie materjalnej zależni jesteśmy od dorobku wielu pokoleń i współpracy wielu ludzi (wynalazki techniczne i rozwój gospodarczy naszego kraju). W dziedzinie umysłowej również, życie jednego człowieka nie wystarcza do zdobycia wiedzy. W osiągnięciu jej człowiek musi się oprzeć na wynikach pracy innych ludzi. W dziedzinie dóbr moralnych, człowiek stale czerpie z otoczenia i historji, przez wychowanie i współżycie, bez tej pomocy człowiek nie byłby zdolny do wyrobienia własnego charakteru w jakiś wybitniejszy sposób.

Słowem, człowiek stale korzysta z pomocy społeczeństwa, a co za tem idzie i sam winien do wspólnego skarbca coś dokładać.

Już Arystoteles, a za nim Święty Tomasz trafnie wypowiedzieli swój sąd o anachoretyźmie.— Człowiek może w dwojaki sposób oddawać się życiu w samotności: albo z powodu własnego zdziczenia unikając współżycia z innymi i to jest życie nieludzkie — zwierzęce; albo też, odsuwając się od ludzi, całkowicie oddając się kontemplacji rzeczy Bożych,— to jest życie męża bożego. Lecz aby oddać się na samotności pracy duchowej konieczne jest dobre wychowanie przez życie w społeczeństwie, bez którego praktyka samotności może stać się wręcz szkodliwa, chyba że Bóg uzupełni normalne przygotowania specjalną łaską (Por. Sumę Teologiczną, II—II, 188, 8). Nawiasem można dodać, że tam, gdzie jest prawdziwa świętość, nawet w ukryciu życia pustelniczego, kwitnie szeroka, obejmująca cały świat miłość społeczna.

Wracając do właściwego zagadnienia współżycia w społeczeństwie musimy sobie uprzytomnić, że konieczna wymiana dóbr jest zależna od istnienia w społeczeństwie pewnych cnót.

W społeczeństwie, gdzie nie można wierzyć w prawdę podawanych wiadomości, ma się zamkniętą drogę do wiedzy, do zdobyczy umysłowych innych ludzi, które w społeczeństwie doskonałem są wspólną własnością. Stąd znaczenie prawdy, która jest podstawą społecznego życia.

We współżyciu z ludźmi, nawet najbardziej niezależny człowiek w dążeniu do swoich celów musi się oprzeć na pomocy innych ludzi, musi móc na tę pomoc liczyć, być jej pewnym. Stąd zależny jest od dobrej woli ludzi, od ich rzetelności, słowności, solidności. Życie w społeczeństwie, w którem jest poderwane zaufanie do ludzi jest nienormalne.

Wreszcie, życie ludzkie nie może się rozwinąć w pełni bez ciepła miłości, bez tej dobrej woli, która w każdym widzi brata i gotowa mu przyjść z pomocą, bez wyrozumiałości, życzliwości, solidarności i przyjaźni.

Święty Tomasz mówi, że niema normalnego rozwoju człowieka bez tego ważnego czynnika, jakim jest w życiu ludzkiem radość — pogoda. Otoczenie smutne zabija człowieka, stąd konieczność i obowiązek podtrzymania w społeczeństwie radości (S. T., II—II, 114, 2, ad 1 — por. Ks. Wł. Korniłowicz: Referat na Międzynarodowym Kongresie Filozofji Tomistycznej w Poznaniu 1934).

Wyżej przytoczony program wychowawczy, jest programem stałym, niezależnym od takiego czy innego ustroju politycznego, czy gospodarczego, nie zawierającego zasadniczych sprzeczności z etyką chrześcijańską. Nikt chyba nie zarzuci, że w ten sposób pojęta doktryna tomistyczna jest czczem recytowaniem ukutych w średniowieczu formułek.

Z konieczności omówiłem tylko pokrótce zagadnienie cnót, kto chce zorjentować się w bogactwie nauki moralno-społecznej Św. Tomasza, niech przestudjuje Grabmann'a. Wstęp do Sumy teologicznej Świętego Tomasza z Akwinu (München 1928, Lwów 1935), specjalnie rozdz. IV, i zabierze się do studjum dzieł wielkiego Doktora Kościoła.

*) Na podstawie nauki Św. Tomasza z Akwinu (Por. artykuł tegoż autora p. t. „Nieporozumienia w kwestji tomizmu" w 17 — 18 numerze zeszłorocznego Paxu. *(Przyp. Red.)*.

JAN DOBRACZYŃSKI

ZAŁAMANA LINJA
KOSSAK-SZCZUCKIEJ

Miałem już kilkakrotnie możność szkicować sylwetki literackie sławniejszych pisarzy katolickich. Niestety, byli to zawsze pisarze zagraniczni. Cóż jednak robić? Gdzie znaleźć polskich pisarzy katolickich? Bo pisarz katolicki to nietylko człowiek, który w swej twórczości trzyma się pewnych ram moralności chrześcijańskiej; pisarz katolicki musi żyć sam ideą katolicką i wcielać ją w twórczość z całą stanowczością.

Na szczęście nie jest tak źle, aby zabrakło zupełnie pisarza polaka i katolika. Mamy przecież Kossak-Szczucką, autorkę o nieprzeciętnym, bujnym talencie, wiele mającą już swego dorobku literackiego i wiele możliwości na przyszłość: W 1922 r. zadebiutowała Kossak-Szczucka „Pożogą". Były to chwile, gdy żyliśmy jeszcze wszyscy grozą nawały ze wschodu, co się rozbiła o brzegi Wisły. Utwory literackie przedstawiające przewrót bolszewicki, najazd na Polskę, bohaterskie a zmiennie się toczące boje — wyrastały, jak grzyby po deszczu. Były tam rzeczy przeciętne i słabe, były także utwory głębokie, mocne, napisane z dużym talentem. Do tych ostatnich zaliczyć można „Pożogę" — garść wspomnień osobistych, opowiedzianych szczerze i bezpośrednio, a jednocześnie z wielką dozą tej zadzierżystości i temperamentu kawaleryjskiego, który cechuje całą rodzinę Kossaków. Już to trzeba przyznać, że to, co nam dała nasza literatura kresowa miało zawsze tężyznę i siłę, jakgdyby nad temi dworami wiał wciąż jeszcze wicher od Dzikich Pól i kształtował moc serc ludzi, tkwiących na krańcach Rzeczpospolitej.

A potem płynęły już niepowstrzymaną falą książki za książkami: „Z miłości" powieść o św. Stanisławie Kostce, „Złota wolność" — czasy zygmuntowskie, „Beatum scelus" — opowieść o porwaniu cudownego obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej, „Szaleńcy Boży" — klejnociki z życia świętych, „Pątniczym szlakiem" — pielgrzymka do Ziemi św., serja opowieści Śląskich: „Nieznany kraj", „Legnickie pole", wreszcie rzecz ostatnia — „Krzyżowcy".

Trzy rzeczy cechują Kossak-Szczucką: temperament, poprostu męski, porywający się na najtrudniejsze zadania, ogromna erudycja i sumienna znajomość opracowywanego tematu, a wreszcie wielkie, prawdziwie chrześcijańskie i kobiece serce. Właściwie to serce stanowi równoważnik bujnej, ambitnej natury szlacheckiej: koryguje brutalne pociągnięcia, szorstkie ruchy, zbyt męskie posunięcia. Jest elementem katolicyzmu autorki — katolicyzmu wcale nieprzeciętnego, przeciwnie, głębokiego i znajdującego swój wyraz w całej twórczości pisarki.

Kossak-Szczucka kocha człowieka — człowiek każdy jest jej bratem i ten wielki i ten mały i ten potężny i ten mizerny i dobry i zły. Właściwie autorka, lubująca się w przeciwstawianiu kontrastów, unika odmalowywania jednostek złych; każdy ma swoje słabości. Kossak-Szczucka dobrotliwie mówi nam: nie sądźmy, abyśmy sami nie byli sądzeni. Patrzmy na każdego tak, aby odnaleźć w nim to, co ma najpiękniejszego. Wówczas świat wyda nam się bardziej słoneczny — i bliżsi będziemy Bogu.

Lecz, nie tracąc z oczu Boga, Kossak-Szczucka lubi „szumny lot ogromnych ptaków". Sapieha, co zbrojną ręką porywa cudowny obraz, Henryk Pobożny, Żołkiewski to jest ta bardziej ludzka odmiana Szaleńców Bożych, rycerzy Bożych, obrońców krzyża, obrońców chrześcijaństwa.

Spotkałem się z zarzutem, że autorka, malując historyczne postacie, zachowuje ich „podręcznikowy" charakter, dostosowuje się do tradycji i tylko w jej granicach uczłowiecza bohaterów. Byłem za to zawsze niezmiernie wdzięczny pisarce. Duch współczesnego rewizjonizmu, słuszny w zasadzie, nie może wychodzić z założenia: precz z wielkościami. Wielkość, którą stworzyła tradycja, ma wszystkie podstawy, aby nią pozostać. Chcieć sądzić dzisiaj o tem co było, pomijając to wszystko, co doszło niepisaną, lub pisaną, lecz nieoficjalną drogą — byłoby zarozumiałością. Od współczesnego „odbronzownictwa" oczekujemy uczłowieczania przeszłych wielkości, lecz nie do tego stopnia, aby wielkość wyszła z tej operacji unurzana w błocie. Kto stanął na piedestale wielkości i gdy już nie żyje, niech tą wielkością zostanie. Na przyszłość możemy być bardziej krytyczni; nie budujmy nikomu za życia pomników, ani nie nazywajmy ulic niczyjem imieniem.

Cała twórczość Kossak-Szczuckiej, aż do chwili ostatniej, robiła na mnie wrażenie wielkiego przygotowania. Autorka wyraźnie „zazębiała" jedną powieść o drugą i zbyt wielka erudycja przezierała z każdej powieści, aby można było przypuszczać, że zdobyta została wyłącznie na użytek jednego utworu. Wyszedłszy z ram Polski historycznej, poświęciwszy wiele na poznanie i wydoskonalenie języka — coraz śmielej sięgała pisarka w mroczną toń dziejów. Takim klejnotem, który zawsze dla mnie zostanie niezapomnianą książką, stało się „Legnickie pole". Nigdzie w całej twórczości Kossak-Szczuckiej nie zbiegły się w równej harmonji wszystkie czynniki, stanowiące kompleks charakterystyczny autorki „Szaleńców Bożych", czynniki, o których wspomniałem wyżej, a któremi są: temperament, erudycja i ukochanie człowieka. I Konrad i Henryk są przez Kossak-Szczucką poprostu oczyszczeni; rozumie ich, rozumie ich konflikty; nikogo nie potępia: obaj mają rację, bo w obu nie osobiste ambicje, nie „prywaty" gorzeją — ale miłość do ludzi. Już wówczas, z przykrością rozstając się z książką, miałem jednak nadzieję, że do tematu rycerzy krzyżowych autorka „Legnickiego Pola" jeszcze powróci. Nadzieję tę spotęgował fakt wyjazdu Kossak-Szczuc-

to, co daje człowiekowi wrażenie nieśmiertelności. Ale i z kobietą czułem się samotnie, bo nie widziałem wierności. I to wrażenie niewierności jest drugą okolicznością, wobec której straszne mi było całe życie. Dwukrotnie byłem żonaty. Pierwsza moja żona była członkiem partji, razem walczyliśmy na froncie przeciw wrogom rewolucji. Druga była rozbitkiem przeszłości, muzykantką i znajdywałem ją w pościeli z rozmaitymi poetami. Ani pierwsza, ani druga nie chciały mieć dzieci, obie były chore i nudno mi było z niemi, samotnie... Niewierność była fundamentem rodziny (str. 133—134).

* * *

Pilniak nie cieszy się zbytnią łaską „prawdziwych" komunistów „bez skazy". Zalicza się go zwykle do t. zw. „poputczików". Może dlatego, że chociaż umie odgadywać aktualne tendencje społeczne Z. S. R. R., co zresztą — wobec niedwuznacznego stanowiska władzy — nie jest zbyt trudne, to jednak nie posiada dość sprytu, aby w negatywnej części programu nie wyjść poza ciasne ramy tego, co w Rosji sowieckiej jest jeszcze do pewnego stopnia tolerowane. W cytowanej powyżej noweli granice te — rzecz oczywista — przekroczył aż nazbyt wyraźnie. To też nie minęło go potępienie ze strony oficjalnej krytyki sowieckiej, klątwa, rzucona w najwyższem oburzeniu, że znalazł się w Z. S. R. R. człowiek, który pozwolił sobie na tak „plugawe oszczerstwo" w stosunku do obywateli socjalistycznego społeczeństwa (por. J. Usijewicz *W poiskach czełowieczeskogo*, *Litieraturnaja Gazieta* 1935 nr. 23, W. Goffenszefer *Ot instinktow feodalnych k instinktam sobaczjim*, *Litieraturnyj Kritik* 1935 nr. 3 i in.). C. Z.

WITOLD NOWODWORSKI

DROGA NIEMNIEJ WAŻNA

O mocarstwowem stanowisku narodu we wszechświecie decyduje przedewszystkiem jego walor jako czynnika politycznego na arenie międzynarodowej, znaczenie jego potęgi militarnej. To są czynniki niewątpliwie o znaczeniu pierwszorzędnem, ale nie jedynem. Lata naszej niewoli państwowej były jednocześnie okresem rozwoju duchowego, rozkwitu naszej myśli patrjotycznej, okresu, w którym literatura nasza zdobyła należne sobie miejsce w dorobku literackim ludzkości. Twórczość artystyczna i umysłowa stanowi ten element objektywny, przed którym muszą schylić czoła przemoc i siła fizyczna. Doskonale to znaczenie polityczne wartości kulturalnych rozumiały i rozumieją Niemcy. Przed wojną europejską mieliśmy napór cywilizacyjny Niemiec we wszystkich dziedzinach twórczości kulturalnej. Dotychczas nauka polska nie może się całkowicie wyzwolić z pod wpływów metod badawczych nauki niemieckiej. (Np. Sumorok w Wileńskim Przeglądzie Prawniczym wysuwa niebezpieczeństwo uzależnienia się polskiej myśli prawniczej od Niemiec). W istocie mogą nam imponować Niemcy swoją umiejętnością organizacyjną. Dzięki niej osiągają już niepospolite wyniki na polu organizacyjno-naukowem i zmuszają inne narody do korzystania ze swego dorobku w tym zakresie. Każdy nawet początkujący badacz rozumie wielką wagę bibljografji. Czyn Estreichera miał niepospolity walor z punktu widzenia propagandy dorobku kulturalnego polskiego. Tam z zadziwieniem dowiedział się o niesłychanem bogactwie literatury polskiej, jedynie na podstawie suchego zestawienia pomników naszego piśmiennictwa. Imperjalizm niemiecki sięga dalej. Ich dziełem jest katalog zbiorowy inkunabułów, oni tworzą olbrzymie wydawnictwo: Katalog zbiorowy bibljotek pruskich, który już od litery B przekształca się na katalog ogólnoniemiecki. Charakterystyczne jest, że połowa jego prenumeraty idzie zagranicę. Uczeni całego świata będą korzystać z informacyj bibjograficznych podanych w sposób prosty i łatwy przez Niemców. Niedość na tem, będą oni sprowadzać z Niemiec książki, których nie znajdą u siebie w kraju. Nie mówię już o ułatwieniu pracy badawczej za pośrednictwem encyklopedyj i wszelakiego rodzaju Handbuchów. Prężność kulturalną wykazują również Włosi. Enciclopedia Italiana, największa z dotychczas istniejących, przekroczyła literę P. Dorobek kulturalny Włoch ma się rozumieć będzie znakomicie w tej encyklopedji uwidoczniony. Rosja Sowiecka nie ustępuje na tem polu Italji i Niemcom.

Obok Encyklopedji włoskiej 2-gą wielkim źródłem informacyjnem jest już dziś Wielka Encyklopedja Sowiecka. Bibljoteka Publiczna w Leningradzie jest jedną z największych na całym świecie. Ze Związkiem prowadzą państwa zachodnioeuropejskie ożywioną wymianę wydawnictw. Tą drogą doktryna bolszewicka przenikać będzie do kultury zachodnioeuropejskiej, będzie jednym z elementów kształtujących duchowe oblicze świata.

Intencję tę zwalczyć potrafią jedynie narody o silnej dynamice ideowej, narody, dla których byt niepodległy to nietylko wegetacja mniej lub więcej pomyślna zależnie od konjunktury polityczno-gospodarczej, ale narody młode duchowo o wielkiej ambicji zdobywczej w dziedzinie idei, w dziedzinie gromadzenia kapitału wartości kulturalnych w dorobku ogólnoludzkim.

W potężnym wyścigu zbrojenia się powszechnego nie może nas zabraknąć, ale niech razem z tą konieczną, choć smutną działalnością musi iść w parze twórczość konstruktywna, celom szlachetniejszym podporządkowana.

Z KSIĄŻEK

ADAM PIASECKI — **O ZATRUDNIENIU MŁODZIEŻY KOŃCZĄCEJ WYŻSZE STUDJA** — Warszawa 1936 r.

Rozprawa, a raczej rozprawka (19 str. tylko) stanowi wyraz troski o przyszłość kończących wyższe studja i opiera się w swych wnioskach na materjałach „Komisji Studjów Towarzystwa Przyjaciół Młodzieży Akademickiej".

Jedynym wyraźnym postulatem, jaki autor stawia jest postulat planowości nauczania opartego na znajomości potrzeb rynku pracy ludzi z wyższem wykształceniem. Autor stwierdza, że obecnie żadnego planowania i dostosowywania produkcji dyplomowanych przez wyższe zakłady do istotnych potrzeb niema i być nie może ze względu na nieznajomość zapotrzebowania na rynku pracy.

Poznanie tego zapotrzebowania wymaga gruntownych studjów odrębnych dla każdego zawodu. Studja w tej materji, jak można wnioskować z samego istnienia Komisji Studjów, zostały zapoczątkowane. Cieszyć się trzeba, że na odcinku nauczania zaczynają mówić o planowości. Dotychczas ilość studjujących na poszczególnych wydziałach była dziełem przypadku. Ilości tej nie uzależniano, nawet od takiej przypadkowej, ale zdawałoby się decydującej okoliczności, jak wielkość sal wykładowych odziedziczonych po zaborcach. Wskutek tego zdarzały się paradoksalne sytuacje, że liczba studjujących np. na prawie, na pierwszym roku przekraczała kilkakrotnie pojemność sali wykładowej.

Sprawdzić tego praktycznie oczywiście nigdy nie było można wobec niskiej frekwencji na wykładach. Ale, jak wyglądała z punktu widzenia ordynarnej pedagogiki zasada obowiązkowego uczęszczania na wykłady wszystkich studentów, o tem lepiej nie wspominać.

To są jednak tylko dygresje. Autor o tych rzeczach nie wspomina. Zajmuje on stanowisko, z którego wynika, że nadprodukcji ludzi z wyższem wykształceniem w Polsce jeszcze niema, a jedynie mamy do czynienia z nieumiejętnością dobierania zawodu i brakiem planowego podziału młodzieży pomiędzy różne zawody z jednej strony a z drugiej strony z niewłaściwem wyzyskaniem i niedostatecznem zużytkowaniem przez państwo, administracje i samorząd młodych sił z wyższem wykształceniem.

Poza temi uwagami na temat ściśle określony w tytule i ilustracją cyfrową, zwraca uwagę na omówioną broszurkę jej wstęp. Zawiera on kilka zdań charakteryzujących stan współczesnej kultury

kiej do Ziemi Świętej i przywieziona z podróży garść wspomnień pod tytułem: „Pątniczym Szlakiem". Spotykałem się wiele razy z opisaniem ziem zwiedzanych, ale nie pamiętam, aby który opis do tego stopnia mnie zaciekawił i poruszył, jak właśnie ta książka. Cechuje ją wielka prostota. Kossak-Szczucka nawiązuje do pewnych historycznych szczegółów i wspomnień tylko od czasu do czasu, jakby w przelocie, pozatem mamy opis, ale niezwykle barwny i zdolny czytelnikowi uplastycznić rzeczywistość. Szczególnie obraz czerwonej, gliniastej pustyni judzkiej, pustyni, na której pościł Jan, skąd — jak twierdzi podanie — wziął Stworzyciel Świata glinę dla ulepienia pierwszego człowieka i gdzie do dziś zdaje się błądzić zwid złego ducha, „zawodzącego jakiś pląs rozpaczny po szczytach, będących uosobieniem jałowości złośliwej" — zawsze mi stoi przed oczyma, choć go nigdy w rzeczywistości nie widziałem.

Chyba się nie mylę, że „Legnickie Pole" i „Pątniczym szlakiem" stanowiło punkt wyjścia dla czterotomowych Krzyżowców. W ciągu pięciu lat, odsunąwszy się od gwaru miast do śląskiej głuszy, powieściopisarka opracowywała ogromne dzieło. Sięgnęła do źródeł najpierwotniejszych, najbliższych prawdy: do zapisów kronikarzy pierwszej krucjaty i do kroniki Anny Porfirogenetki. Oparła się o mapy, plany...

Tak wiele pracy popartej talentem pisarskim nie mogło nie przynieść rezultatów. Ostatnia powieść Kossak-Szczuckiej jest dziełem, stawiającym naszą powieściopisarkę w szeregu najznakomitszych współczesnych autorów powieści historycznych, gdzie zajmuje miejsce, bodaj jako jedyna kobieta. Stylem przypominając najwięcej Sigridę Undset, nie pogłębia do tego stopnia psychologji swoich bohaterów, co skandynawska powieściopisarka, maluje ich zato z większym rozmachem, siłą i barwnością, dając zawsze wspaniałe tło i otoczenie. Raczej intuicyjnie odnajduje charakterystyczne cechy, opisywanych przez siebie ludzi; unika nadmiernej analizy, konflikty rozwiązuje efektem dramatycznym, nieraz nagłym i o bardzo silnem napięciu, pozwalając, aby cały kompleks przeżyć wewnętrznych był jedynie następstwem rozegranej poprzednio sceny dramatycznej. Stąd siła djalogów Kossak-Szczuckiej, rozwiązujących przeważnie, na podobieństwo sienkiewiczowskich, konflikty i posuwających akcję naprzód. Jednocześnie autorka lubi opisy i poświęca im wiele stronic w swych książkach, a stronice te są chyba najpiękniejsze w całej powieści. Przeplatanie szybko rozwijającej się akcji dramatycznej, ustępami narracyjnemi, nadaje powieściom zmienny rytm, charakterystyczny zresztą dla powieści historycznych. Istnieje wprawdzie zawsze niebezpieczeństwo przeciągnięcia zbytnio strony opisowej (wiele powieści Kraszewskiego), lub przeniesienie całej uwagi na dramatyczność akcji, co pociąga za sobą prawie zawsze bladość odtwarzanej epoki. Kossak-Szczucka umie zachować granicę, nieprzeciążając swoich utworów z jednej strony nadmierną liczbą opisów, z drugiej pozwala od czasu do czasu na pełne wdzięku zwolnienie rytmu powieści.

Punktem wyjścia jest dla autorki Polska, ściślej Śląsk. Kossak-Szczucka odkąd zamieszkała na Śląsku stała się namiętną wielbicielką i entuzjastką tej dzielnicy. Jak Wołoszynowski o Polsce, jak Żeromski o Pomorzu, dała Kossak-Szczucka zbiór obrazów historycznych o Śląsku w książce p. t. „Nieznany Kraj".

Tym nieznanym krajem jest właśnie Śląsk, prastara dzielnica piastowska, najbardziej wierna i najbardziej jednocześnie zapomniana przez rodaków. Przez wieki pracowały wpływy niemieckie, by tych ludzi, tak silnie przywiązanych do języka i do tradycji ojczystej, wynarodowić. Kossak-Szczucka odsłania jednego po drugim, nieznanych bohaterów, cichych i zapomnianych dziś nawet wśród swoich, pracowników na niwie zachowania języka, kultury i wiary. Jest tam wprawdzie, gdy opisuje czasy ostatnie, drobny zgrzyt: Korfanty. Być może autorka dała się zahypnotyzować liczbie wzniesionych budynków, przeprowadzonych dróg, czy przerzuconych mostów — nie w tem leży jednak istota i rezultat pracy człowieka dla swoich rodaków...

Śląsk jest także wyjściem Krzyżowców: trzech braci Strzegoniów i dwu Zaworów opuszczają kraj, uciekając przed zemstą Sieciecha, łączą się z poselstwem węgierskiem, jadącem do Papieża, przypadkowo trafiają na sobór w Clermont; niejednakowe jednak motywy skłaniają ich do zaciągnięcia się w szeregi krzyżowców: Imbram Strzegonia, młody idealista, pełen zapału i świeżej wiary, idzie za głosem uczucia; bracia jego jednak, widzą w tem jedynie okazję do ocalenia majątków, zagrożonych konfiskatą za walkę z Sieciechem. Imbram jest w znacznie większym stopniu postacią charakterystyczną dla twórczości Kossak-Szczuckiej, niż pozostali Polacy. Rodowód jego sięga tych samych głębin gorącego uczucia co Henryka Pobożnego, Żółkiewskiego, Sapiehy; lecz w miarę jak wsiąka w wyprawę krzyżową, gdzieś rozwiewa się czar postaci; zaczyna się chwiać, więź psychologiczna słabnie. Gdy Witosław i Zbylut nabierają oblicza, urastają na ludzi z krwi i kości, Imbram coraz bardziej niknie, snuje się jak cień, jak wyrzut pomiędzy innymi bohaterami powieści. Gdy wreszcie po latach wojowania powraca do domu, zjawia się w rodowem dworzyszczu, jak mara bezkrwista, człowiek złamany przedwcześnie, barbarzyńca, wlokący całe piętno oglądanej własnemi oczyma kultury.

Jakaś nieswoja, pełna bolesnego pesymizmu nuta zabrzmiała w powieści Kossak-Szczuckiej. Może gruntowne rozważania nad średniowiecznemi kronikami napełniło takim bólem serce autorki, a może po raz pierwszy, dała się unieść zbyt silnie duchowi rewizjonizmu dziejowego. Bo oto z czterotomowej powieści, powieści napisanej z niepowszednią siłą i talentem epickim, bije gorycz rozpaczna, gorycz, której przysłonić nie może nawet wielka idea, jaką starała się prze-

umysłowej, bardzo dosadnych i dość trafnych. Cytuję niektóre z nich:

„...miarą wartości wykształcenia staje się dziś wąsko pojęta użyteczność i produkcyjność. Szczytem jest naukowa techniczna wynalazczość, falistemi zboczami poprawne wykonywanie zawodu. Jeszcze gdzieniegdzie, przedewszystkiem w krajach romańskich, kultywuje się coś w rodzaju narodowych parków intellektu. Ideał estetyki intelektualnej, djalektyki i abstrakcyjnej kultury broni się w imię formy, nie w imię żadnej normy moralnej, ale w imię piękna — przed utylitarystycznem kryterjum oceny człowieka".

BERNANOS MÓWI O DJABŁACH

Ktoś u nas, już nie pamiętam kto, zdaje się, że Nowaczyński, napisał, iż ksiądz w literaturze polskiej jest sylwetką spotykaną może nawet dość często, lecz zawsze mającą to samo oblicze: koniecznie starego, siwowłosego kapłana, dobrego aż do niedołęstwa, udzielającego zawsze trzęsącym się głosem kilku szablonowych rad moralnych. Nikt się nie postarał, aby pod czarną sutanną odnaleźć człowieka, poznać jego niepokoje, bóle i radości. Literatura współczesna idzie drogą najmniejszego oporu: konflikt na podłożu seksualnym jest najchętniej łykaną pigułką przez czytelnika a pisarz współczesny nie ma naogół zbyt silnej indywidualności, aby zaryzykować temat nie „biorący" szerokich warstw czytelników. Minęły czasy kiedy literatura rzucała hasła i kształtowała ideały mas; dziś odwrotnie literatura idzie na pasku czytelników, zajmuje się z zasady tem, o czem pragną czytać rzesze. Oburzamy się często na „błagopołuczników" sowieckich, nie zdając sobie sprawy, że i wśród naszych pisarzy jest znakomita większość ludzi piszących, może nie na rozkaz partji czy związku — lecz napewno na rozkaz wydawców, znających doskonale gusta czytającej publiki.

Trzeba więc podziwiać odwagę pisarza, który nie zważając na uprzedzenia czytelników, chwyta się niewdzięcznego tematu, poświęcając mu nie jedną, nie dwie swoje książki, ale całą twórczość. Taką nieprzeciętną indywidualnością jest Jerzy Bernanos. Dla niego ksiądz stał się stałym bohaterem wszystkich utworów, naturalnie nie ten szablonowy polski proboszcz „ze starej, zacienionej drewnianej plebanji", ale ksiądz-człowiek, żyjący życiem jak każdy z jego parafjan [illegible] korzeniami ciała w ziemi, w dobrach materjalnych, choć duchem wylatujący ponad doczesność. Każda sylwetka księdza ma swoje oblicze. Jest to cała galerja typów, niezmiernie ciekawych i kontrastowo różnych. Autor zawsze zdolny jest do krytyki i uczłowieczania swoich bohaterów ale w namiętnem poszukiwaniu prawdy życiowej nie zapomina o istnieniu czynników głębszych, czysto idealistycznych, irracjonalnych. W świecie powieści Bernanosa nietylko działają ludzie: wprowadza on także siły nadprzyrodzone. Ani przez chwilę nie tracąc z oczu realizmu odmalowywanego obrazu, z całą naturalnością ściąga na ziemię potrzebnych mu przedstawicieli świata podziemnego i to nie tylko w osobie symbolicznie wprost ujemnych postaci ludzkich jak szofer-rosjanin w „Radości Życia", lecz także szatana, we własnej osobie. Poza legendami czy szopkami rzadko pisarz korzysta z widomej osoby szatana, a i wówczas przeważnie postać ta jest tylko symbolicznem wcieleniem zła, jak np. Smętek „w Wietrze od morza". U Bernanosa szatan jest szatanem prawdziwym, schodzi na ziemię aby kusić, jak niegdyś kusił na puszczy. Nie posługuje się człowiekiem, schodzi sam. Dla ludzi, którzy wierzą tylko w to co widzą, wesołość może budzić tylko szatan, rozmawiający na pustem polu z ks. Donnissanem, lecz Bernanos należy do autorów, dla których stwierdzenie prawa ciążenia jest rzeczą równie oczywistą jak widoma walka św. Antoniego z demonami.

Czy szatan istnieje rzeczywiście? Iluż chrześćjan daje sobie to pytanie, zapominając wyraźnych słów Chrystusa! Dla Bernanosa odpowiedź jest prosta: istnieje. Błąka się po świecie, szukając zguby człowieka, a znaleźć go można wszędzie. Nie przychodzi do ludzi, którzy i bez jego pomocy upadają, lecz stara się zaatakować tych, co na drodze do udoskonalenia, zwyciężyli sami siebie. Czem silniejszy jest człowiek, tem mocniej atakuje go szatan, co jest zupełnie zrozumiałe w świetle nauki Kościoła, że nikt nie jest kuszony ponad miarę. Jezus—jako człowiek i święci zdolni są patrzeć w jego oblicze bez trwogi, i dlatego przybiera wobec nich widomą postać. Do innych mówi szeptem, prosto w ucho, prosto w serce tak, że człowiek przestaje wiedzieć jego to własne czy szatana słowa.

Udział szatana w świecie powieści Bernanosa, jak już zaznaczyłem, nie odbiera im cechy prawdy. Książki Bernanosa noszą wszystkie dodatnie cechy współczesnej twórczości powieściowej francuskiej, opartej na gruntownem poznaniu prawdy życiowej, a której nieobcą jest też psychoanaliza. Należy do szeregu pisarzy katolickich jak Mauriac i Cocteau lecz gdy u nich katolicyzm ma charakter raczej negatywny, jako rezultat krytycznego poglądu na świat, Bernanos, podobnie jak Bauman, ze zdumiewającą energją szuka wyjścia z impasu między prawdą życiową a katolicyzmem na drodze czynnej — uczłowieczenia świętości. Mauriac mu zarzuca, że w ten sposób nie osiąga rezultatu a świętość jego bohaterów jest skutkiem tego w rażącej sprzeczności z ich człowieczeństwem, Bernanos mógłby równie dobrze zarzucić Mauriac'owi, że w nadmiernym zapale uświęca ludzi, nie mających żadnych na to danych, a gdy porywa się na odtworzenie świętości, staje wobec całkowitej zagadki psychologicznej. Ks. Donnissan dochodzi do świętości w rezultacie zaciętej walki z szatanem, oraz z własną nieufnością i słabością. Świętość nie jest czemś statycznem: kształtuje się i trwa w ogniu nieustannej walki; „wzlecieć jest łatwo—powiada proboszcz z Torcy—ale utrzymać się na wysokościach trudniej". Właśnie dlatego realizm świętości ks. Donnissana jest taki przekonywujący, że, aż do chwili śmierci człowiek trwa w walce; słodycz pokoju ducha jest tylko powierzchnią, pod którą odkrywamy najokropniejsze [illegible]

Święci Bernanosa są ludźmi z krwi i kości. To nie jest jakieś mistyczne odrętwienie, w którem człowiek, na kształt jogi, odrywa się całkowicie od otaczającego świata, oddając się wewnętrznej kontemplacji. Święci Bernanosa żyją w życiu, przez co świadczą o rzetelnej marce swojej świętości. Lecz jednocześnie wszyscy ludzie Bernanosa żyją życiem, w którem rzeczy nieziemskie splatają się w jakiś węzeł nierozerwalny z rzeczami ziemskiemi. Tak, jak zjawienie się szatana uważa autor za coś nieskończenie naturalnego, tak samo, z równą naturalnością, każe interesować się sprawami nadprzyrodzonemi swoim bohaterom. Daleki jest od rozdzielania zagadnień na sprawy ziemskie i niebieskie. Niemniej daleki jest od ujmowania spraw kościelnych w szablonowy sposób. Zdaje sobie sprawę, że nikt nie potrafi żyć wciąż na wyżynach; byłoby to, jeżeli chodzi o księży, nawet szkodliwe i na pewno nie przyniosłoby parafji pożytku. Kościół zaś nie jest tylko miejscem modlitw, lecz komórką żywego organizmu, mającą swoje obowiązki.

Przy nastawieniu, które każe mu rozpatrywać wszystkie sprawy pod kątem zagadnień wiecznych, Bernanos zdradza, zupełnie niespodziewanie, pewną żyłkę poszukiwacza sensacji. Trzymanie czytelnika w napięciu, rozpinanie wciąż przed jego oczyma tajemniczych zasłon, operowanie cieniami — Bernanos potrafi to wszystko robić z wdziękiem, godnym, jeżeli już nie Conan Doyle'a, to napewno Chestertona. Tylko, że gdy stajemy wobec rozwikłania zagadek i gdy autor musi wyjaśnić wszystkie tajemnice, Bernanos jest zupełnie bezradny. Jak można wyjaśniać wszystko, gdy każdy wypadek nie stanowi treści sam w sobie, lecz wiąże się z ingerencją nieprzerwaną świata nadzmysłowego? Wchodzimy w świat zjawisk, które się odczuwa, lecz które nie dadzą się ściśle stwierdzić.

Bernanos nie należy u nas do autorów znanych. „Aha, to ten co napisał powieść o djable" — jedyne określenie, z którem miałem się możność spotkać. Szkoda — rzeczywiście szkoda. Trzeba jednak to przyznać, że niedźwiedzią przysługę oddali Bernanosowi wydawcy polscy, rzucając jego książki na rynek w przekładzie, który nadawałby się do jakiegoś panopticum. Nie mówię o ostatniej „Zbrodni", ale przekład „Radości życia" i „Pod słońcem szatana", woła o pomstę do nieba. Szkodą.

J. D.

Dnia 24 maja bież. roku licznie zgromadzona młodzież akademicka u stóp Jasnej Góry złożyła uroczyste ślubowanie na wierność Wierze i Kościołowi. Szczegółowy reportaż z tych uroczystości podamy Szan. Czytelnikom w następnym n-rze.

KSIĄŻKI NADESŁANE

ŻYCIE SZTUKI pod redakcją Z. L. Zaleskiego. Rocznik II. Warszawa 1935. Wyd. z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Administracja i Skład Główny w Kasie im. Mianowskiego.

MUZYKA POLSKA — Kwartalnik poświęcony zagadnieniom życia muzycznego w Polsce VIII. 1935.

GŁOS PLASTYKÓW—Wydawnictwo Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Krakowie. Rocznik IV. nr. 1—VI. Grudzień 1935.

Henryk Ułaszyn — *METODY RZYMSKO-KATOLICKIE*. Poznań 1936.

MARCHOŁT — Kwartalnik poświęcony sprawom literatury i kultury. R.II. nr. 2(6). Warszawa 1936.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. M. K. Łotwa. — Dwukrotnie wysłany nr. 6 rozminął się z Sz. Panem dwa razy.

P. Z. Z. K. Warszawa. — Dziękujemy za rzeczowe uwagi i współpracę. Oczekujemy dalszych listów i artykułów.

T. P. M. A. Warszawa. — Chwilowo odezwy nie zamieszczamy. Odkładamy na później.

prowadzić autorka: Bóg posługuje się nawet niegodnymi, by swój cel urzeczywistnić.

Smutnie wyglądają ludzie, którzy w kościele w Clermont ślubowali wszelkie wyrzeczenie i ofiary dla zdobycia zwycięstwa. Porwani największą z idej, jakie kiedykolwiek przelatywały nad światem, zbratani jednością, jaką znało tylko średniowiecze, jednością uniwersalizmu katolickiego—wyruszyli na nieznaną wyprawę. Nikt i nikt nie wiedział ile czasu iść będą, kiedy swój cel osiągną, z jakiemi niebezpieczeństwami się spotkają. W bój nieznany nieśli tylko swój miecz rycerza chrześcijanina i pas nieskalanej cnoty rycerskiej.

Lecz w miarę jak wkraczają w obręb świetnej, a jednak ropiejącej kultury bizantyjskiej, w nieznane ziemie Małej Azji, w bezwodne pustynie, na wyniosłe przełęcze — tracą po drodze to wszystko z czem wyszli. Ze zbroi rycerza krzyża wyglądać poczyna człowiek, brutalna bestja, która zna trzy jedynie potrzeby i łaknie ich zaspokojenia: głód, chuć i pragnienie władzy. Ci, którzy swoją zwierzęcość starają się trzymać na wodzy, stają się, jak Imbram, własnemi marami, pogardy godnemi, słabowitemi tworami; taki Godfryd, taki Robert Flandryjski, taki Rajmund... A obok nich galerja ludzi, których nieokiełznane namiętności zawiodły na szlak, obcy szlakowi co ich wiedzie: Bohemund, Baldwin, Arnuld de Rohes... łotry lub głupcy — a jednak pod ich żelaznym naporem kruszeją przeważające siły arabskie, walą się bramy Nicei, Antjochji, Jerozolimy... Chyba więc cud dokonał zwycięstwa?

Autorka nie cofa się przed taką alternatywą. Tak, jak świętokradczo zainscenizowany przez Bohemunda cud św. Włóczni był bodźcem, by wywołać cud prawdziwy powrotu odwagi do wynędzniałych serc obrońców Antjochji i prześliczny cud Sądu Bożego — tak samo pełna zdrożności i zgnilizny moralnej, pełna brutalnej chciwości i pychy wyprawa cudem osiągnęła zwycięstwo. Bóg pozwolił w najcięższej chwili nadbiec Ademarowi z odsieczą duchów umierającym z wyczerpania zdobywcom.

Cuda znacznie częściej wychodzą ludziom na potępienie, niż na zbawienie. Cud zwycięstwa zakończony sporami, kłótniami, podłościami — nie mógł nie pozostać bez kary. I karę tę ponieśli wszyscy uczestnicy wyprawy.

Kossak-Szczucka aż do końca pozostała wierna przyjętej przez siebie tendencji — lecz, trzeba to przyznać, „Krzyżowcy" są zaprzeczeniem całej dotychczasowej twórczości autorki. Ona, która starała się zawsze odnaleźć dobro w najnędzniejszym tworze ludzkim, w ostatniej książce odnalazła zło wśród największych duchów. Zaprzeczyła wielkości; Bóg jeden zdolen jest prowadzić ludzkość, bez Jego pomocy człowiek staje się zwierzęciem.

Łaska wszakże nie jest zaprzeczeniem natury — uczą ojcowie Kościoła — i, szczerze mówiąc, wolę Kossak-Szczucką z „Legnickiego Pola", niż Kossak-Szczucką z „Krzyżowców". Autorowi powieści zawsze przysługuje prawo pewnej transpozycji prawdy historycznej i nie potrzeba aby się jej trzymał ze ścisłością, godną kronikarza. Autor powieści zagląda w dusze ludzkie i tam musi szukać rozwiązania i genezy powstających konfliktów, nie poprzestając na suchych faktach. Obok cudów, które się dokonują w świecie zjawisk fizycznych, na oczach wielu, jest znacznie więcej cudów dokonywujących się w sercach ludzkich i tych nie rejestruje pióro kronikarza. Ten cud musiał się dokonać w sercach krzyżowców i ten cud miał większą trwałość niż wszystko to, co się dokonywało w ich oczach. Ci ludzie nie mogli wrócić do domu jak Imbram, niezdolni do czynu, zagłębieni w gorzkich rozważaniach dokonanego grzechu.

Kossak-Szczucka jest pisarką młodą i rozwój jej talentu każe wierzyć, że otrzymamy jeszcze niejedną książkę. Miejmy więc nadzieję, że autora otrząśnie się z bolesnych dumań nad staremi kronikami i spojrzy znowu na świat swoim wzokiem kochającej wszystko i wszystkich chrześcijanki.

W ZASTĘPSTWIE REDAKTORA NACZELNEGO I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: WITOLD RUDZIŃSKI. — WYDAWCA: WACŁAW TARASIEWICZ. — ADMINISTRATOR: MARJAN PRUBA

PRENUMERATA Z PRZESYŁKĄ W POLSCE: rocznie 4.80 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.40 zł.; ZAGRANICĄ: rocznie 7.40., półrocznie 3.90 zł.. kwartalnie 2.40 zł.; w Ameryce i Chinach: rocznie 2.50 dol., półrocz. 1.50 dol., kwart. 1.— dol. — OGŁOSZENIA: str. 500 zł., $1/2$ str. 280 zł., $1/4$ str. 150 zł., $1/8$ str. 80 zł. Wiersz garmontowy 1 zł.

Redakcja i Administracja: Wilno, ul. Zamkowa 14 — 1. — Konto P. K. O. Nr. 144.229
Redakcja czynna w poniedziałki i środy od godz. 1-szej do 2-giej. Administracja czynna codziennie oprócz świąt od godz. 12-ej do 2-giej

Drukarnia Archidiecezjalna w Wilnie, Metropolitalna 1, telef. 14-49